

EDWARD REDLIŃSKI

KONOPIELKA



Edward Redliński

KONOPIELKA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-87-9

E-book ten jest oparty na tekście dostępnym w serwisie Wolne Lektury (wersja bez przypisów) opublikowanym tam na licencji Creative Commons CC BY-SA (Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL) i dotyczy go analogiczna licencja.

Najpierw o wstawaniu.

Co innego wstawać latem, co innego zimo. Słonko to zawsze wstaje równo, zaraz po kogutach, i to zima czy lato, tyle że latem pokazuje się od razu, latem dużo roboty, a zimo jesienio wyleguje się: nie wschodzi na niebo, bo po co? Leży sobie pod spodem, wygrzewa się po ciemku, czochra się, całkiem jak w chatach gospodarze.

Jesienio gospodarze wstają długo, po trochu, posmakować lubio. Jakby taki był, co by widział przez ściany i przez ciemno, to on by może i widział, co gospodarze robio, jak koguty w sieniach odśpiewają im trzecie pobudkę.

Przecknąwszy się, oczow nie odmykają, leżą, leżą sobie pod pierzynami jak bóchenki w piecach, jak w gniazdach jajka pod kurami, każdy rozgrzany, rozpalony, baba jemu do pleców przylipła, dycha w szyję aż parzy, w nogach ciepło, w łokciach ciepło, pod pachami ciepło, aj dobrze, żaden nie ruszy się, nie drygnie, żeb tego swojego przytuliska, ciepłiska Broń Boże nie zruszyć, leży, poleży jeszcze trochu, troszku, aj nie chce się z gniazda ciepłego wyłazić. Ale to że tam dzień słonko się ocknęło i czas wstawać, świdruje to, poszturchuje.

Taki, co by widział przez ściany i ciemno, zobaczyłby naraz we wszystkich chatach nogi, jak raptem myk wyłaziło spod pierzynow i bosa szukają podłogi, macają. A już i głowy, plecy dźwigają się, prostują i nie wiadomo kiedy na wszystkich łóżkach siedzą mężczyźni w gaciach i koszulach, oczy dalej mają zapluszczone.

Nie odpluszczają, bo chcą sobie poziewać: poziewać i poprzeciągać się na siedząco, uch, co to za siły natężają tak od środka, że głowy poodrzucają aż na łopatki, ręce rozkrzyżowało, brzuchy, plecy w długi wygięło! Siedzą w pomroce, wygięte, naprężone, aj dobrze im, dobrze!

Naraz sprężyny puszcza: miękno, zwijają się, bezwładnie, ręce zsuwają się im między kolana, siedzą miętkie, bezwładne, jak nieżywe, jakby ich nie było, ile czasu tak siedzą? Nie wiadomo, nikt nie wie, nima komu wiedzieć. Siedzą. Siedzą Jurczaki, Bartoszek, Mazury, Koleśniki, Litwiny, Orele, Prymaki, Dunaje, Kozaki, czterdzieście gospodarzy na czterdzieści łóżkach, oni w swoich chatach najważniejsze, wstają pierwsze: siedzą sobie, siedzą. A teraz przydałby się taki, żeby słyszał przez wszystkie dźwięki, ściany: taki posłyszałby raptem we wszystkich chatach uchanie, sapanie, pufanie, marmotanie: to zimno wzdrygnęło ich, poruszyło, zaczynają gospodarze ćmie rozganiać, tuman, co głowy mrozi, odprawiają drapanie, postukiwanie, szorowanie paznokciami w kostkę, łydko o łydke, kolaniem o kolano, czochranie się pod pachami, po żebrach, w pachwinach, pod kolanami. Brodo o koszule chrzęszczo, jednym kułakiem krzyży rozcierają, drugim oczy, a wyginają się przy tym jak baby w połogu, a stękają, a gęby wykrzywiają. I dobrze, ludkowie, oj, jak dobrze! W uchu powiercić jeszcze, smarknąć na podłogę, kachnąć na szczęście i żegnawszy się ręką ciężko jeszcze, zaspano, na słowie Amen oczy odpluszczyć.

Odpluszczysz i latem widzisz brzezinkę za rzeką i słonko: jak z trawy wstaje, prostuje się na cztery łapy, przednie zadziera, wyciąga i po brzozach w górę, czerwone lezie. A ptastwo w krzyk, że dzień się zaczął!

A cóż jesienio, ech, jesienio odpluszczysz się i ciemno, głucho, za oknem czarno, w chacie jeszcze czarniej. Na łóżku pierzyna ledwo bieleje, choć w białej poszwie ona, a głowę żonki na poduszce nie tyle widać, co słyszać, dychanie słyszać. Przy drugim szczytku, w nogach, dychają dzieci. Kołyski, co wisi między łóżkiem a piecem, jakby nie było ani widu, ani słychu, trzeba aż nachylić się nad główkę, wtedy doleci poświstywanie przez chrapki, dychanie drobne, kociacze. Dycha, żyje, nie umarło. A na przypiecy chrzr, uchch, chrzr, uchch, szum taki, jakby trzciny belkę pilowali, piła jeździła to wte to wefte. Ale to nie trzciny, ktoś by trzcinał na piecy, tatko to, tato pod kożuchiem dosypiają nocy.

Za ścianą słyszać drugie wstawanie: trzeszczenie łóżka, pokaszliwanie, marmotanie, ktoś zbiera się, szykuje tak samo jak ja: to Michał, brat, słyszać, bo ściana cienka, z desek, deskami tatowa chata między synów na połowki przedzielona.

Ot i pomału sie wstało. Oczy patrzy, niby widzo, ale ślepe, tylko na pamięć wiedzo, dzie kołyska, piec, ceberek, dzie dźwi: ide półślepo, odmykam półomackiem, zawias zapiszczał, kury przestraszyli sie w sieniach, szurajo na drabinie, grehoczo. Wychodze za prog, na kamień.

I teraz jakby taki był, coby słyszał naraz ze wszystkich podwórzow, to on by posłyszał teraz w wiosce jeden wielki szum i pomyślałby: co to? Czy grad nadciąga i wiatr wleciał do wioski? Czy deszcz zaszurał raptem po liściach? A może to wróbli wielko plago wlecieli w ogrody i szepoczo w trawie?

Nie, to nie wiatr, nie deszcz, nie wróbli. Taki, co słyszał ten szum, jakby on jeszcze do tego mógł widzieć przez ściany i ciemno, taki zobaczyłby na progach i kamieniach czterdziestu gospodarzy: Jurczakow, Bartoszkow, Mazurow, Koleśnikow, Litwinow, Orelow, Prymakow, Dunajow, Kozakow, czterdziestu chłopu by zobaczył, jak stojo boso w gaciach i koszulach i szczo szparko, stromo w koprzywy pod płotem: tamtego dnia, prawda, koprzywy już nie było, struchłała, biały mroz leżał na ziemi, powietrze zimne było, syrowe, ciemność bura, nawiśnięta, od razu wiadomo, co z pogodą: będzie padało, zimny deszcz, a może i szadź, e, myślę sobie, nie pojedzie dzisiaj do brzeziny, a na co mnie moknąć na takim ziąbie, pogoda w sam raz na stodołę, do cepa.

Czasu przeszło nie więcej jak płachcie wysiać i braś! bach! paf! słysząc dźwi w wiosce: to męszczyzny kończą szczanie, wracają z nadwora. I ja kończę, bo zimno, brr, ziąbu naszło pod koszule, prędzej do chaty! Nawet kury jeszcze nie wychodzą, siedzą w sieniach, jeszcze im na dworze za ciemno, za straszno. Wciągają nogawicy i walonki, na koszule palciki i kożuszek, na głowę czapkę. I teraz zachciewa się mi zimnej wody. Kubek z goździa zdymuje, zaczerpnę ze skopka, piję, cały duży kubek wlewam, lubię nasłuchiwać, jak zimno rozchodzi się po brzuchu. Rozeszło się i już ja całkiem przecknięty, mogby iść do młóćby. Ale jeszcze w stodole za ciemno, posiedzę, póki nie wywidnieje.

Na stołku przed piecem siadam, wydaję z kieszenia papirki złożone w ośmioro, naddzieram rąbek, z drugiego kieszenia biorę szczypkę machorki, skręcam, ośliniwszy brzeżek, żeb trzymało się, nu i mam papirka. Teraz szukam w popiele węgielka. A jakże, większy, mniejszy, zawsze się jakiś żarzy od wczoraj. Przypalam, zaciągam się i siedzę sobie po ciemku. O czym ja myślę tak przed popielnikiem? Ha, prawdę powiedziawszy, to ja wtedy nie za bardzo myślę. Myślę nie myślę. Ot, roi się coś pod czapkę: że u świnów dźwi zlatują, trzeba będzie przybić zawias. Czy Grzegorycha oddała już naftę, co pożyczała na pogrzeb, czy nie oddała. Ile jeszcze do ocielenia się Raby, prawie miesiąc? Co za czerwona ptaszka świergotała wczoraj na sokorze, nigdy ja takiej ptaszki nie widział. A sokor, jak on choroba pogrubiał, ależ wyrosł: jak z czubka na wioskę patrzeć, jakaż ona maleńka! A bagno szerokie, bez końca, morze. Ojezu, co zimno, lece, zleciał ja z sokora i lece nad chatami jak boćko!

Aha, to śni się, ni to śpie, ni nieśpie: nad wiosko lece, ale i w chacie siedzę, na stołku. W chacie? Prawdę powiedziawszy, wcale ja tej chaty nie widzę: dycha ktoś po ciemku, ale kto, co? Toż nie chodzą, nie odzywają się. A może ja w stodole? może w jamie? w boru? Ciemno, czy to wiadomo, co jest, czego nima? Nu a ja sam: jest ja czy nie? Chiba jest, tak, czuje, że coś jest: tam, dzie głowa, jakoś widniej, jakby kądział białała w ciemnie. Ale nogow, plecow, ręcow nie czuje.

Nie czuje, nimam, póki się nie rusze. A rusze się, bo w końcu coś wzdrgnie mmo: czy to ręka się obsunie, czy głowa raptem oklapnie, porusze się i już czuje: o ręka, o nogi, o głowa! O, ja! I słyszę sapanie, i wiem: te tatowe, te Handzine, te dzieciow. A papirka zgasł, nie wiadomo, dawno czy tylko co, długo ja myślał nie myślał, śniło się nie śniło, czy nie długo. Co dalej? Znowuś rozdmuchuje popioł pod płytę, dodmuchuje się iskry, przypalam. Na dworze brzaśniej, trochu widniej, nu, można budzić.

Szturcham żonkę: wstawaj Handzia! Ona stęknie i nic, śpi jak spała. Jeszcze raz szturcham: Wstawaj Handzia, dniej! Ona ziewa, ręce przeciąga, oczow nie odpluszcza,

przeciagnąwszy sie, siadać zaczyna, pierzyny podciąga na cycki, zimno, za noc piecy wystygli. I siedzi tak, półspawszy.

Ja ze stołka po chacie patrze: już widać kołyske, kożuchi na murku, łózko, Handzie na łózku.

Siedzi i siedzi, niedoprzykryta pierzyno, cycki rękami zakrywa od zimna, oczy wytrzeszczywszy nieżywe, szklane, niby zbudzona, a wygrzebać sie z nocy nie może, jeszcze nogi brzuch nieprzecknięte. Marmocze coś, gęba sie jej rusza jak krowie, co przez sen trawę żuje. Aż głowo strzącha, odmyka oczy i mowi, co jej sie śniło: We śnie ja dzieci biła, czy to gości bedo?

Wyłaż, mówie, nie bedziesz gościowała pod pierzyno.

Ona stęka i rękę po kaftany, serdaki wyciąga. Na przypiecy zaruszali sie kożuchi, zaświeciło łycho, zgasło: tatko nałożyli czapke na głowe. I oni wstajo. Pięty świerzbio, co to za wroźba, pytajo, jak ręce świerzbio, coś sie podwędzi, ale co pięty?

Bo śpiecie w walonkach, na to Handzia, zdymajcie na noc, nie bedzie świerzbiało. A tatko badajo świerzby: ściągnęli walonki i rozsiadłszy sie w kożuchach, trach pazurami, trach, drapio sie po łydkach i piętach. Handzia, obuwszy sie, skopek bierze, zbudzona a niedobudzona idzie doić, ale jak idzie? Krok, dwa i stanie: postoi, poziewa, wzdrygnie sie, znowuś idzie, po drodze stołki przewraca, w szmatach sie płacze, mało co widzi.

Poszła, doić, póki z mlekiem nie wróci sie, posiedzieć można, poroić pod czapko. Siedze przed pieco, śpie nie śpie, myślę nie myślę, aj dobrze. Dzień sie sam zaczyna, wszystko idzie jak trzeba, jak wczoraj, jak kiedyś, jak było na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków amen.

Aż tu:

Aż tu słyhać kroki i wołanie z nadwora: Raba ocielila sie, chodź Kaziuk, prędzaj!

Ocielila sie? Jakże ona ocielić sie mogła, kiedy advent tylko co zaczął sie, bydłowała przed Wojciecha, jej czas przed samymi świętami.

Co ty pleciesz kobieto, mówie, Rabie brakuje prawie miesiąc!

Brakuje nie brakuje, ale cielak jest, upiera sie ona. A tato pośpieszajo: leć, leć Kaziuk, musi jakiś niedonosek! A może Nie Daj Boże zrzuciła!

Lece na gumno dużymi krokami, zaglądam do chlewa, prawdziwie: coś czarnego w słomie leży, ale pod płotem, co odgradza krowe od kobyły, jakoś tak że, widze, obydwie i krowa, i kobyła jego oblizują! A coż u czorta za dziwo?

Może to źrebie, mówie z proga.

Jakie źrebie, na to żonka, toż kobyła nie była żrebna!

Ale czy żywe? pytam sie i wchodze. Biore małe rękami pod brzuch, wynosze do proga, na widniej. Chwała Bogu, ciele, jakieś małe, marne, ale żywe, ha, ocielila sie Raba sama, bez niczyjej pomocy! Bywa.

Trzeba nieść do chaty, mówi Handzia, toż ono, chudzinka, skapieje tu z głodu chłodu!

Trzeba, mówie, bierz w chfartuch, nieś, powycieraj, ja do stodoły skocze po słome na pościele.

Ale co sie nie robi! Bierze Handzia cielaka w chfartuch, od proga idzie, a tu do dźwięw napierajo i Raba, i Siwka! Że Raba ryczy, to rozumiem, ona krowa. Ale czegoż Siwka rży, gwałtuje, toż ona kobyła! Dźwi zamykam, słysze ryczenie i rzenie! Coż u czorta! Przyglądam sie kobyłe: ona łbem kiwa, na mnie napiera, rży, o choroba, a jaki ty masz w tym interes? Czemu ty cielaka oblizywała, słyszał kto, żeb żywina cudzy płod oblizywała?

Zamykam dźwi, snopek biore. A tu już Handzia, zaniosszy ciele, wróciła sie doić Mećke.

Zacznij od Raby, radze, zobaczmy czy mleko dośpiało, czy niedonoszone.

Handzia przysiada, skopek kolanami ściska, głowę wpiera w pachwine, doi, Raba cichnie, nasłuchuje ciurkania w skopku. Zaraz Handzia palcem próbuje smaku: dobre, z siaro, jak trzeba.

Nu to Chwała Bogu, mówie, tylko żeb ciele wyżyło.

Szymona Kuśtyka zawołaj, radzi ona, najlepiej na tych sprawach znajo sie Szymon.

Zanosze słome, ale już tato położyli cielaczka do łózka, pod pierzyne między dzieci, dzieci jak baki cielaka obsiedli, gębe jemu rozdziawiajo, zaglądato, za ogon ciągało, nadaremno dziadko ich proszo, straszło. Na słome nie kładź, radzo mnie, słoma zmarznięta, zimna, na razie rozściel, niech ona zagrzeje sie.

Słome w kątku rozścieliwszy, do Kuśtykow lece. Baranice Szymon nałożyli, fajke zgasil i za mno zaraz podążajo.

A Kuśtykiem przeżywa sie ich od zgiętej nogi: jedne noge majo od małego, po wrzodzie, skurczone na zawsze w kolanie, przyrośnięte pięto do półdupka, a zdrowa noga wyprostowana do przodu. I chodzo tak, dópo przy ziemi, jedne noge wprzód rzucawszy, jakby co krok próbowali wstać z przysiadu i nie mogli. Te wygode majo, że rękami podpierać sie mogo, a na drodze, w polu gadajo ze stojącymi na siedząco, siedzo sobie półdupkiem na obcasie jak na pieńku, tyle że do rozporkow gadajo, bo głowa nisko. Ale niechno dźwignio sie na tym zdrowym nożysku, gruszkę urwać, w gębe dać, niechno stano na jednej nodze z tym kuśtykiem podkulonym jak bocianisko, o, dopieroż widać, jaki duży miał być z nich męszczyna.

Powiedziawszy pochwalony, zaglądato Szymon do łózka, pierzyne odchyliwszy. Najpierw mordke palcami odmykajo, w zęby patrzo, od razu ogłaszajo: Bił ktoś Rabe i temu zrzuciła. Kto bił?

Ja na to, że nikt cielnej krowy nie bije! Ale gorsze dziwo, mówie: Siwka przez płot oblizywała te ciele jak swoje, a jak sie zabierało, rżała za nim jak matka!

O! Szymona przestraszyło. Usiedli Szymon na progu i dumajo: Kobyła? Hm, kobyła. Co ma kobyła do cielaka. A pamiętacie Wronę co pod wierzbo zamarz? Ja pamiętam, co opowiadali stare: U Wrony co pod wierzbo zamarz klaczka zrodziła kiedyś czarnego barana!

E tam, może zrodziła, może nie, mówie, ja tam tego barana nie widział.

Tu już i tatko za Szymonem sie ujeli: Ale byli takie, co widzieli, ostrzegajo tatko, widzieli, bo im noco droge przestępował, iskry sypał!

I dzie on teraz?

A rozsypał sie.

Ale czy mogła klaczka barana urodzić?

Zaperzyli sie Szymon: A to ty nie wiesz, że czort lubi noco na koniu pojeździć?

Wiem, wiem to, bo wszystkim wiadomo, że lubi: nieraz zaszedzsy rano do chlewa widziało sie, jaki koń umęczony: cały mokry, boki białe, a na mordzie i mięż nogami szumowina aż syczy! Ale co z tego?

A to, tlómaczo Szymon, że u Wrony czort jeździł w osobie czarnego barana, za barana przybrany. Jeździł, jeździł, mało było hadowi jeżdżenia na klaczce, na koniec wzioł i wyruchał. A z czerciego nasienia coż urośnie, jak nie czerciątko? I urosło, w osobie czarnego baranka, i straszło na drogach!

Ale, co wy stryku, nie straszcie, mówie do Kuśtyka, chiboż nie wierzycie, że i moje ciele straszyc będzie? Raba do byczka była wodzona, jak trzeba, zreszto nie słysząc, że czort za czarnego byczka sie przybierał.

Nie, nie, ja nic takiego nie mówie, spokojo Szymon, ale radze na taki siaki przypadek odczynić, bo jest od czego: raz że ono czarne, dwa że wczesne, trzy że kobyła lizała!

To może i kobyłę odczynić? pytajo sie tato.

A Szymon głowo kiwajo: Kobyłę wyprowadźcie z chlewa, aby zadnimi nogami za prog i wepchnijcie nazad, chwostem do przodu. Tak samo i Rabe. A ciele ja odczynie odrazu.

I Szymon drapacz spód piecy chlebowej biero i nad cielem sie wyprostowawszy, przeżegnali cielaka drapaczem po skórze od głowy do ogona. W tym czasie Handzia ze skopkiem wchodzi.

I mleko odczyńcie, radzo Szymon, przecedźcie przez święcony wianek, najlepiej z krzyżowego ziela.

Handzia cedzi mleko przez wianek, jak Szymon kazali, my sie patrzmy, czy jaki fokus nie wyskoczy ze skopka, ale nic, mleko leje sie jak trzeba. Ale słyhać, że krowa bardzo ryczy w chlewie, a kobyła rży! I nie wiadomo, z głodu czy za cielakiem. Idziem z Kuśtykiem i tatkiem na gumno, żywino sie zająć. Zawiązał ja Rabie postronek na rogi, wywiód z chlewa aby za próg i wepchnął tyłem, a niełatwo było wepchnąć: zapierała sie, przysiadła, łeb wykręcała. To samo z Siwko: rżała, postękiwała, ukąsić za rękę próbowała. Ale choć odczynione, dalej to samo: rżo, myczo jak przedtem.

Aż jak ja im w żłoby dał, ucichli, siano gęby pozatykało. A Handzia wiadra niesie, do koryta przed chlewem ciasta nalewa i świńskie dźwi odmyka: wyskakują prosiaki, dwa małe jak koty, trzeci pół psa, na Wielkanoc pod nóż pójdzie. Jedzo, przepychają sie, z ryjow im sie ciasto chlapie, kury sprytnie poddziobują to spodspodu. I rozglądam sie po gumnie: wszystko jak trzeba, świni jak trzeba, kobyła nie rży, krowa nie ryczy, Daj Boże, żeb ciele wyżyło i wyrosło mnie na ładne jałoszke. Bóg wam Zapłać, dziękuje dla Szymona, bo kuśtykają już do domu, a i my z tatkiem do chaty idziem, tatko bose, wysoko nogi podnoszo, jak gęsiar na lodzie, bo biały mroz leży na gumnie.

A tu najmniejsze w kołysce rozkrzyczało sie, tato za sznurek biero, kołysz, ale nic, nie pomaga, wiszczy jak wiszczało. Handzia podstawia stołek i z policy, z najwyższej deski, kubek z cukrem zdymuje. Zdjęła i zaraz na nas popatrzyła, to na mnie patrzy, to na tatka: który jad, Jezu, nic przed wami nie uchować, no, który mączkę wyjad? A widzi, że ja pilnie słome w kącie rozścielam, tyłem sie odkręcam do niej. Ty Kaziuk?

Nie nie, mówie, choć prawda, wziął ja, wzięło sie trochu wczoraj pod wieczór na posłodzenie chleba. Ale co mam giąć sie przed babo. A łgać nie chce. Nu to nic nie gadam.

Ona patrzy srogo na tata: Wy? Kręco głowo, że nie oni, a oczami pódłoge zamiatają, widać też do kubka sie dorwali. Ale kiedy? Jak mnie Handzia do krowy wywołała? Takie bystre? Rozsierzdziła sie: Nie wy? Nie ty? To kto? Oni? Dzieci powyskakiwali z łózka, wiedzo, że w kubku mączka jest, stojo pod matko bose, w koszulach, łebki pozadzierali, zapatrzone w kubek, jak psiaki w cedziłko.

Nie gadaj tyle, ucinam ja kazanie jej na stołku: dzieci gołe, śniadanie nienastawione, a ona tu gorzkie żali odprawia!

Wsypała Handzia mączki w białe szmatke, obciągnęła, główkę nitko obowiązała, ośliniła, żeb przesiąkło, posmoktała dla próby i wtyka małej do mordki. Poczulo słodkie, ssie, zapluszczwszy oczki, cichnie.

Ale na dwie trzy chwilki: Ziutek, najstarszy zaras pod kołyske wlaszys ciszkiem, wyrzywa małej soske, chowa sie pod łóżko i sam smocze. Oddaj, krzyczy Handzia, oddaj, mówie! Wyłaż spod łózka, bo cie tam Marmytka po ciemku załachocze, wyłaż! Aż polanem od matki dostawszy, wyrzuca soske: Handzia jo obciera, znowuś małej wtyka, mała cichnie, za to Ziutek rozżalony, ryczy aż szyby dzwonio, nie wiadomo czemu przyłączają sie młodsze dzieci, zaraz też przyłączają sie dzieci Michałowe za ściano, do tego jeszcze ciele zajęczało, huk, wisk w chacie, jak na odpusćcie, od tego wizgu komin sie zatknął, dym wraca sie z powrotem, ciemno, smród, nie do zniesienia. A dajże im tej mączki, może ścichno, krzycze do Handzi. I prawdziwie, tylko stanęła pod polico, po kubek ręce wyciągnęła, pisklaki ucichli jak nieme i gapio sie w matke. A ona najsampierw daje im po glonie chleba, a kiedy stanęli wkoło stołka, sypie pośrodku garstke białego, a smurgle na wyprzedki już językami ślinić chleb, wtykać w mączkę i oblizywać, obgryzać!

Tatko nie wytrzymujo tego dobrego: I mnie daj, proszo, widać oskoma ich przemogła, rękę wyciągajo. Tak? A powiecie, kto z kubka podbierał, naciska Handzia, nie powiecie? Ukroiła skibke, trzyma im pod nosem: powiecie? Tato chleb łapio, złapać nie mogo, ona zabiera. Ja brał, przyznajo sie, daj! A ona: to pamiętajcie, żeb więcej nie brali! I dopiero, ośliniwszy skibke z wierzchu, posypuje mączko i daje im do ręki.

A tu już siara w saganu sie przygrzała dla cielaczka. Siadam na słomie i wzięwszy głodomorka za łeb pod pache, gębe jemu rozdziawiwszy, wlewam te mleko siare: z początku cieie dusi sie, zatyka, wypłuwa, kaszła, głowe wykręcywa, aż łapie sposob na dychanie nosem i pije samo, oczy wywraca ze smaku. Za ten czas Handzia wrzuca do saganu kiszanej kapusty i skwarke, do dwóch większych saganow nasypuje kartoflow świniom i bierze sie za małe. Pokuśtawszy w rękach, siada na łożku cycki dać. I tak sobie poimy, ja cielaka, ona dzieciaka, a rozsmakowali sie, że obydwum w gębach pieni sie ze szczęścia, dzieciak nawet popurkuje.

W sieniach rozkrzyczwała sie kura, Handzia nasłuchuje, zadowolona, że jajko bedzie, łokciem cycke przyciska, niech małe prędzej pije. Podkarmiwszy, kładzie pisklaka do kołyski, kaftan obciąga i idzie do sieni, jajka wybrać z kosza. Przynosi, ale tylko jedno: dzie drugie, pyta sie, wczoraj szczupała ja wieczorem, dwa naszczupała. Co z drugim?

Tchor chiba nie ukrad, mówie, kury krzyczelib, słysząc by było. Znaczy że ta druga kura jeszcze nie zniosła, abo zniosła dzie dziko. Może w żłobie?

Kończe poić, cielak prawie cały saganek wydundził, oczy zapluszczajo sie jemu z sytości, głowa w słome leci. A! niech śpi sobie, biore pierzyne, przykryje, niech rozgrzeje sie sierotka. I bydlaczka opatuliwszy, ide szukać jajka.

Przeszukał ja i żłoby i pód żłobami, chlew krowiaczy i koński. W stodole kąty sprawdził. Grochowiny pod oczapo obmacał. W chlewach słome na rosztach przeszukał. Stodołę obszed wkoło. Wióry i trocienie koło chrostu przetrząsnoł. Pod gałęzi zaglądnął. W łopuchi pod gruszkami, pogniłe, śmieciate zajrzał, czy tam dzikiej jamki nie wysiedziała, jajka nie schowała. I nic, ni widu, ni słychu, nima zguby nigdzie.

Ot zaraza, ale chitra, mówie do Handzi, ależ schowała. I która to?

Słysze, że nieśne byli ta z biało szyjo i bezogoniata, ale która zniosła, która nie zniosła, tego Handzia nie pamięta. Zdaje sie kokudakała ta bez ogona, mówi na koniec, bo było kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A tak kokudaczka ta bez ogona.

A co ty, ta bez ogona inaczej, przeciwie sie, ona kro, kro, krak! Kro, kro, krak! Znaczy, że ta z biało szyjo zniosła, to ona kokudaczka kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A pokażno jajko, od której ono.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI